



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

HAMLET.

Być albo nie być—tragiczne pytanie
Nurtuje w duszy zarodem boleści,

W istoty ludzkiej zapada otchłanie

I każdą iskrą zatruwa jej treści...

I choć już żadnej nadziei nie mieści

Szczęścia, co z prochu nie łatwo powstanie,

To przecież jeszcze coś, coś serce pieści,

I budzi życia ukryte świtanie.

Być albo nie być—myśl ludzka się chwieje,

Ach, ale w sercu ten zaród zwątpienia

Nie zmyli uczuć w rozpaczy bezdroże;

W głębi świt twórczy miłości w niem dnieje

I słońce wstaje szczęścia i natchnienia

I chce być—serce, póki kochać może.

Być albo nie być... oh, ty myśli błędna,

Jakże ty silnie lotem błyskawicy

Trącasz o wrota wielkiej tajemnicy

Co wiecznie stoi przed tobą bezwzględna.

Daremnie prąd twój nieskończoność wierci,

Przed zgonem jesteś własnych złud igraszką,

A potem jesteś zimną, głuchą czaszką

Znieruchomioną po tryumfie śmierci.

O myśli, zwątpień porzuć chwiejne szcudła,

Koniec twój przecie nie w tej martwej kości,

Wróć do wszechistnień przyczyny—miłości,

Wróć, wróć do serca, do wszechbyków źródła.

O myśli ludzka! namiętna artystko,

Chcesz dotrzeć prawdy ostrzem twego dłuta?

Ach, czaszka twoja—pracownia zepsuta

Leży na ziemskim cmętarczy jak wszystko...

Nie wszystko! Nie ma takiego cmętacza

Gdzieby najgłębiej zwątpiały bluźnierca

Wśród skorup w które świat szczęście przetwarza,

Znalazł skorupę—martwą czaszkę—Serca.

Szczęсна.

HENRYK PESTALOZZI.

Ludzie, którzy z bogacili ludzkość szlachetnych czynów, szlachetnych myśli skarbami, nie podlegają tym prawom natury, które każe człowiekowi zniknąć z czasem ze świata. Póki kto dla ludzkości tej działa, żyje dla niej jeszcze i takiego niesmiertelnego życia dowodem są między innymi uroczyste obchody w Szwajcaryi i w Niemczech południowych, poświęcone pamięci szlachetnego pedagoga myśliciela, Henryka Pestalozzi, w sto pięćdziesiąt lat po urodzeniu jego. Obok tego aktu czci, oddanego mu wdzięcznie, wyszła znaczna liczba pism, wykazujących wysokie zalety jego systematu wychowania, a najbardziej wśród nich zajmujące i objaśniające najlepiej znaczenie jego zasług pedagogicznych jest dzieło świeżo wydane w Bonn pod tytułem: „Ojciec Pestalozzi,” a mieszczący się obok obrazu jego życia wykład jego metody nauczania wykazuje, jak oddziaływała ona na umysły młode, aby otwarły się na przyjęcie wiedzy, która oświeca drogi ludzkości.

Rozdział pierwszy przedstawia czytelnikowi obraz jego rodzinnego domu. Ojciec był okulista; lata pierwsze jego dzieciństwa upływały spokojnie i szczęśliwie, wśród czego zaznaczała się jak to przyznawał, wierna, przywiązana do rodziny służąca Babela, której szlachetne serce przyłgnęło gorąco zwłaszcza do dzieci i wyświadczała im też wiele dobrego, szczególnie gdy śmierć zabrała ojca, a matka ciężarem boleści przygnieciona złożyła na nią w znacznej części trudy wychowania drobnej jeszcze dziatwy. Nie stało im się to przecież szkoda żadną, a przeciwnie był to nabytek dobry, że uczucie młodego serca nauczyło się kochać ludzi bez względu na różnice stanu i położenia towarzyszy

skich. Wyrobiło się też w sercu chłopięcia wcześniej już to uczucie sprawiedliwości, przez które człowiek nie zaślepiony przesadami temi, które dzieła ludzi na stany, szanuje i kocha tych tylko, którzy przedstawiają mu szlachetne pojęcie życia, szlachetne zrozumienie obowiązków człowieka względem ludzkości, związane z tem głębokiem uczuciem miłości bratniej, które uczyniło go filantropem i młodzieńcowi już nasuwało myśli poświęcenia się dla dobra ogółu i zdobycia sobie środków działania w tym kierunku.

Dziadek jego był pastorem i w niem też obudziła się chęć do tego stanu, zrodzona z uczuć miłości bliźniego. Kształcił się więc odpowiednio do obranego zawodu, stał się nawet teologiem wyższego znaczenia, bo szukając wszędzie jądra rzeczy doszedł do przekonania, że najszlachetniejszym powołaniem człowieka wśród ludzkości jest służyć tak bliżnim, aby nie przyrosli do ziemi jedynie i umieli podnosić wzrok ku niebu. Z miłością i zapalem odbywał też studia teologii i stał się nawet uczonym w tym kierunku, gdy naraz zastąpiła mu drogę okoliczność dla innego niż on młodzieńca mniej ważna może, ale którą on w szlachetnym zawsze pojmowaniu rzeczy wszelkiej wziął silnie do serca. Pierwsze kazanie, które wygłosił, miało miejsce w wiejskim kościółku, ale wzruszenie które go przenikało, stało się powodem, że słowa jego nie dość wybitnie oddały myśl i uczucie, którem biło jego serce, co też zrozumiał i w dzienniku jego z tego czasu, w którym spisywał co dzień obrachunek czynów swoich, mieści rozumnie szlachetny sąd o sobie samym, że mu brak tego talentu wymowy, którego potrzeba aby wzruszał serce ludzkie i zwracał je ku niebu. Przecież nie było to odstępowaniem od tego, co przez miłość ludzkości dokonać pragnął i na dalszych kartach dziennika znajduje się szlachetnie rozumne zdanie, że życie to dla każdej istoty ludzkiej szerokie pole do działania i należy tylko odsuwając na bok miłość własną, szukać sobie drogi takiej, na której doszedłby do celu zamierzonego. Postanowił zostać prawnikiem i na karcie dziennika, który pozostał z tego czasu, mieści się taki wyraz jego myśli: „Będę walczył z niesprawiedliwością, gdzie tylko się z nią spotkam—będę podawał uciesnionym rękę pomocy a z oblicza zuchwałych grzeszników będę zdzierać maskę kłamstwa.”

Ale dla młodzieńca gorącej duszy nie było to dostateczne pole działania, zawiązał też z młodemi przyjaciółmi swemi stowarzyszenie przenikania serc ludzkich uczuciem miłości bliźniego i tej sprawiedliwości, która staje w poprzek samolubstwa, garnącego sobie jedynie zasoby szczęścia, w materialnem używaniu zawarte. Środkiem działania uczyniono założenie dziennika, w którym szczególnie nacisk był położony na wychowanie, rozbudzające przedewszystkiem w sercach młodych poczucie obowiązku a w którym wyraził z goryczą ciężki zarzut przeciwko społeczeństwu swemu: „Sprawiedliwość cierpi gwałt a niesprawiedliwość szeroko się rozpościera.” Porzucił też studia prawne i zamieszkał na wsi: „Chcę żyć z naturą i z jej dziećmi prawami, wieśniak jest pracowity i uczciwy, nie spożywa darmo chleba i nie umie być dwulicowym, nie wydziera zazdrośnie nikomu dobra jego.”

Osiedlił się na wsi u wzorowego gospodarza nazwiskiem Tschiffeli, pod którego okiem uczył się rolnictwa i u którego pozostawał rok cały, zaliczając go do najszcześniejszych chwil życia, bo Tschiffeli obchodził się z nim jak ojciec z synem i wcielił go w życie swojej własnej rodziny, której wszyscy członkowie byli dobrzy i rozumni. Z żalem też rozdzielił się z niemi a samoistne życie, które otwierało się teraz przed nim, wykazywało mu, że nie jest to droga usłana różami. Majątek jego matki był bardzo ograniczony, mógł więc nabyć zaledwie jeden hektar ziemi na stoku góry, odległej o kilka godzin drogi od najbliższej wioski Mülingen, a dobra ta matka i Babeli stanęły mu mężnie do pomocy; ale brakowało tu jeszcze gospodyni młodej, więc energiczniejszej, silniej mogącej ująć ster zarządu domu, aż szczęśliwym zrzędzeniem losu zyskał sobie taką towarzyszkę życia, jakiej pragnął zawsze, z sercem tklivem, z głębokiem pojęciem obowiązku, którą pokochał sercem całym, miłością gorącą, odpłacaną uczuciem tklivem i wiernem aż do śmierci. Była to córka bogatego

przemysłowca; piękna, wysoko wykształcona a znali się już lat kilka, lecz miłość zbudziła mu się głównie w sercu widząc ją wielce miłosierną i litościwą dla biednych. Raz Pestalozzi zobaczył na łące po za miastem chłopca około lat dziesięciu, który na stogu koniczyny spał, obdarty, zasmolony, a którego on zbudziwszy zapytał, dlaczego tu na noc się ułożył i do domu nie idzie?—Nie mam domu... odparł malec smutnie, gdyż sierotą był bez ojca i matki, żył z jałmużny a niekiedy nawet głód go zmuszał coś ukraść. Pestalozzi wziął go litościwie za rękę i zaprowadził do domu Anny, prosząc dla niego o piekę, której nie odmówiła; chłopię nie tylko zostało nakarmione, ale i umyte, wyczesane, przydane czysto a mileżąca miłość młodzieńca znalazła nagle wyraz wypowiedzenia się głośnego.—Ukochana!... zawołał, niech to dziecko nie zostanie sierotą bez opieki, przygarnijmy je oboje i bądźmy mu rodzicami, którzy wychowają tę istotę, rzuconą samotnie w świat, do uczciwego i szczęśliwego istnienia wśród ludzkości...

Ona rozrzewniona podała mu rękę. — Bóg tego chciał i niech się tak stanie... rzekła i spełniło się szlachetne dzieło miłosierdzia, na które składało się dwoje godnych siebie ludzi. Tak żona jak i mąż oddawali się coraz to więcej uczynkom miłosierdzia, opieki nad sierotami, nad żebrzącymi i waleśającymi się po świecie dziećmi. Pestalozzi zaczął najpierw przygarniać do siebie małych żebraków, sieroty bez ojca i matki, młoda małżonka rozciągała nad niemi opiekę staranną, aż zostało zgromadzonych 50 sierot bez domu, dla których wznosił się przytułek staraniem Pestalozziego, a gdy żona zapytała męża, zali to gmina miasta łoży na to, on jej się przyznał do prawdy i podniecony wzruszeniem wypowiedział otwarcie, że zadaniem jego jest to właśnie, aby gminy przez swoje jakoby miłosierdzie nie wytwarzały żebraków, że inne powinny być środki pomocy dla tych nieszczęśliwych, którym brakuje kawałka chleba. — „Niech nikt nie daje bliźniemu swemu grosza jałmużny, ale niech miłość bratnia stworzy dla tych, którzy potrzebują podpory, środki do pracy—niech znikną przytułki miłosierne a otworzą się domy zarobkowe.”

I nie były to słowa ulatające z wiatrem. Pestalozzi powtarzał je nie tylko ustnie, ale i piśmiennie, zaczęły się też zbierać grupy ludzi, którzy przyjęli je do serca i umysłu zarazem i wzniesiony został w Neuhof dom zarobkowy dla wszelkiego rodzaju pracujących. W lecie były to prace koło gospodarstwa rolnego, w zimie kobiety przędły, mężczyźni stanęli do warsztatów tkackich i nie tylko podniósł się dobrobyt, ale i moralność, bo praca stoi zawsze na straży u wrót tych, przez które wejść się wypstępek. Przytem dawano tu możność oświecenia umysłu każdemu kto tego zapragnął, a zarazem starano się pragnienie to rozniecać we wszystkich, tak w starszych już jak i młodych. „Nigdy nie jest zapóźno dla człowieka zdobywać sobie światło“ powtarzał Pestalozzi przy każdej okoliczności, przecież młodzież była szczególnym przedmiotem jego pracy; usiłował nie tylko wszystkie struny szlachetnych uczuć w niej do głosu rozbudzać, ale zarazem wpajać wiarę w moralne siły człowieka. Dzieci żebraków, włóczęgów wszelkiego rodzaju były otaczane szczególną jego opieką, pragnął przedewszystkiem wdobyć je w tryb życia porządnego, pragnął rozbudzić w nich tę dumę, która z poczucia godności człowieka wykwiła. Niełatwo to przychodziło, a dodać trzeba, że gminy wsi i miasteczek widziały w tem jakąś niepotrzebną przesadę, która je obrażała, gdy z drugiej strony rodzice i krewni dzieci, matki szczególnie, uskarżały się, że biedactwo jest tyranizowane.

Z wielkim, głębokim smutkiem musiał Pestalozzi po pięciu latach bardzo utrudzającej pracy zakładać ten zwinąć, a zadłużył się tak na jego utrzymanie, że niemal cały, dość znaczny majątek żony swej tu utopił. Lat osiemnaście walczyć też musiał z biedą i studiował głębiej jeszcze braki, nędze ludu, przecież mało kto rozumiał go i pojął cele jego; wysmiewano go jako maniaka i bardzo mała liczba ludzi wyższego umysłu i wznioślejszego ducha rozumieć i odpowiednim szacunkiem darzyć go umiała. W tym czasie przecież, gdy przygnieciony ciężkimi próbami losu i zapomniany od ludzi pedził smutne, samotne życie, pomoc przyszła niespodziewanie od kobiety prostej, służącej, Elżbiety

Näse, która przebywając przez lat wiele u zamożnej, ze sfer wyższych społeczeństwa rodziny, zbierała sobie pewną sumkę pieniędzy, przez którą zapragnęła teraz przyjść mu z pomocą.

On ofiary tej przyjąć nie chciał, ale wstąpiła mu w serce odwagę i wiara w ludzi, a pocziwa dziewczyna pracowała za dwie, usuwała od biednej rodziny wszelkie możliwe troski i kłopoty, w największym porządku i ładzie utrzymując dom, własnymi rękami uprawiając ogród i kawałek gruntu, który do posiadłości rodziny należał. Można też przytoczyć tutaj stare zdanie nasze, że chociaż życie idzie po grudzie, jak nam Bóg miły dobrzy są ludzie... czego stwierdzenie powtórzyło się jeszcze, gdy młodzieniec jeden ze sfer kupieckich, Feliks Battier, znający szlachetność i zasługi społeczne biednego człowieka przyszedł mu z pomocą, która pozwała rodzinie wypłatać się ze złych interesów.

(Dokończenie nastąpi).

POGA WĘDKA.

W londyńskim muzeum Kensington, znajduje się w oszklonej szafie: Quarterly Review z roku 1819. Ciekawi odczytują następujące słowa dotyczące się ówczesnych projektów zaprowadzenia koleje żelaznych:

„Nie możemy się wcale zapalać do fantastycznych projektów, odnoszących się w jakikolwiek bądź sposób do pożytecznych urządzeń i śmiejemy się z tego pomysłu nie do przeprowadzenia, który na tem polega, iż chcą budować tor, po którymby podróżowano przy pomocy pary. Czy istnieje większy bezsens? czy jest coś śmieszniejszego, jak wóz kierowany siłą pary, który by miał dwa razy tak szybko gonąć, jak nasze zwykłe wozy?“

I oto, pomimo zdania uczonych, ironicznego śmiechu z bezsensownych pomysłów, po upływie zaledwie lat kilkudziesięciu, świat cały żelaznemi opasał się szynami, a szybkość pociągów przeszła wszelkie wyobrażenia ówczesnych umysłów. Ten bezsens, ta rzecz śmieszna stała się obecnie tak codziennym wypadkiem, że już nie wzbudza podziwu w wieśniaku nawet obsiewającym swój zagon, pastuszką pasącym gęsi przy rowie, w małym dziecku, które już nieco obejrzało się po świecie.—A przecie te słowa ludzi uczonych, tak nie dawno, tak bardzo niedawno wypowiedziane zostały. Znamiennie są z tego względu, że—z jednej strony mówią o wielkiej zarozumiałości naszej, z drugiej o większej jeszcze niewiedomości ukrytych sił przyrody.

Od tej chwili sławetnego napisu, odkrycia szły za odkryciami, wynalazki za wynalazkami i dziś, doprawdy, że trudno nam pojąć, jak ludzie się obchodzili bez tych dróg komunikacyjnych, bez telegrafów, bez telefonów wreszcie, których (lubo istnienie na dziesięć już palcach liczymy), gdyby tylko tych ostatnich nie stało nagle, niejedynemu redaktorowi pisma za łeb by się wziął i zawołał:

— Aj, niewygodna!—Władze policyjne uczyłyby się skrępowane w swych czynnościach, niezaalarmowane natychmiast straże ogniowe, opóźniałyby się z przybyciem na miejsca wypadku i tysiące innych niewygod byłomy uczuli, a dziesiątek niedługi lat temu, jak tak do-konałe obchodziliśmy się bez tych telefonów.

Pomimo jednak tych wszystkich cudów, że tak powiemy, mimo bijących prawd w oczy, że nie masz granicy jak najbardziej niespodziewanym odkryciom, że niemal dzień każdy coś nowego nam przynosi—nowość wszelka w tej dziedzinie powstała wzbudza w nas dotąd nie tylko niedowiarstwo, lecz często stokroć ze stanowczem spotyka się zaprzeczeniem, lub podejrzeniem oszustwa.

Nie także było z fonografem naprzykład?

Obecnie my, warszawiacy, możemy, wydawszy dwadzieścia groszy tylko, zająć sobie do kamienicy (niepamiętam jej numeru) na Nowym-Świecie, i przysłuchać się śpiewom jakiejs operowej znakomitości, rozróżnić głosy kilkunastu naraz śpiewaków, posłyszeć szmer zachwyty i głośne „brawo!“ wreszcie

uśmieć się przy wypowiedzianym przez przyrząd monologu niejednym.

„Fonograf, z dodatkiem jeszcze „Edisona“—wszak to takie zwyczajne!

Bal—a, jednak posadzono wynalazcę o—brzucho-móstwo

Przed kilku miesiącami śmielibyśmy się może z promieni X—obecnie, nie masz prawie ilustrowanego pisma, któreby nam nie podało reprodukcji fotografowanych przedmiotów za pomocą tych promieni tajemniczych, przenikających przez drzewo, tekturę, przez blachę cienką i ciało ludzkie. Wynalazek szczęśliwy z tego jeszcze względu, że od razu znalazł zastosowanie w tak ważnej dziedzinie wiedzy, jaką jest chirurgia. W Berlinie, za pomocą owych promieni Röntgena, odkryto siedlisko kuli w ciele pacjenta; u nas równie podobne próby dobrem cieszyły się powodzeniem. Nie pozostał i Kraków w tyle. Profesor Olszewski wypowiedział rzecz o tym ciekawym odkryciu, a profesor Obaliński dyrektor pawilonu chirurgicznego szpitala Ś. Łazarza, przedstawił odbicie zwieńczonej ręki, dokonane za pomocą promieni Röntgena, udowodniając doniosłość wynalazku.—Rzecz miała się tak:

Do tamtejszego ambulatoryum zgłosił się młody robotnik, który, spuszczały do szybu kopalni węgla, doznał gwałtownego uderzenia o ścianę. Po upływie tygodnia od dnia wypadku, chory przybył do szpitala; obrzęk ręki był nadzwyczaj silny i nie ustępował po użyciu odpowiednich środków, w skutek czego nie można było postawić dyagnozy, gdyż to się robi jedynie na podstawie wyczucia palcami stanu kości. Niektóre względy przemawiały za złamaniem, inne za zwłknięciem; nadzwyczajna ruchomość ręki w łokciu zdawała się wskazywać przeciw zwłknięciu, gdyż stawy zwłknięte, właśnie wskutek naprężenia więzadeł, zachowują się tak, jakby były sprężynami przytrzymywane, wracając, po wychyleniu, do pierwotnego położenia. Wtedy, nie mogąc postawić ostatecznego rozpoznania, zwrócił się profesor Obaliński do prof. Olszewskiego z prośbą o ofotografowanie łokcia za pomocą promieni Röntgena.

Po bardzo długiej ekspozycji, trwającej dwie i pół godziny, mimo to, bez żadnych narzekań chorego—wywołano kliszę, na której od razu znać było silne zwłknięcie. Główna kość ramieniowej wyskoczyła gwałtownie o kilka centymetrów odległości ze stawu, opierając się między kością łokciową, a szprychową. To właśnie silne zwłknięcie było przyczyną owego wielkiego obrzęku, bo towarzyszyło mu wielkie wynaczynienie, oraz niezwyklej ruchomości ręki w łokciu, gdyż więzadła stawowe były w sposób gwałtowny rozerwane i nie mogły już działać, jak sprężyny.

Zdawałoby się nam, że dość jednego tego przykładu, by wróżyć niespodziewanemu odkryciu Röntgena niemałej doniosłości przyszłość. Udoskonalenia być muszą, mogą nawet bardzo daleko sięgnąć, do granic nie przypuszczanych przez nas obecnie. Mimo to, spotkałem dwóch lekarzy, dość lekceważąco tłumaczących promienie X.

— Zabawka—mówił jeden...

— Bez żadnych poważnych następstw—dodawał drugi.

Ha! konserwatyizm jest niezmierną potęgą, to twierdza o wrotach tysiącu, w które walą tarany czasu i powoli lecz trwale kruszą. Nowi zdobywcy jednak, zatknawszy na basztach starych zwycięzkie swoje sztandary, budują częstokroć nowe wrota, do których wieki następne szturmować znów muszą.—Lecz jeżeli odkrycia, dające tak szybko, a tak pomyślne rezultaty, spotykają się jeszcze z pewnym niedowierzaniem, coś powiedzieć o innych ukrytych, tajemniczych siłach natury, przejawiających się w dziwacznych formach, zagadkowych objawach, jak dotąd, nieprowadzących do niczego pozytywnego. Te zarzuty bywają dwojakie: wierzących w te siły nazywają maniakami, posługujących się nimi kuglarzami, lub wprost—oszustami. Temi epitetami obdarzeni zostali badacze nowej medyumicznej siły i—podlegający ich doświadczeniu.

Za bezsens, za śmieszność początek wieku naszego uważał myśl samą o wozach ruchomych, potrącanych siłą pary; za obłąd, za maniactwo uważa koniec wieku eksperymenta czynione z podobnymi osobnikami jak np. Eusapia.—A tymczasem olbrzymie wozy bez zaprzęgu toczą się po szynach żelaz-

nych, a dokument w Kensington ostrzega niedowiarków przed przedczesnym śmiechem.

Z wielu względów nie radzi bylibyśmy znowu powracać do pani Palladino, a jednak uczynić to musimy, po pierwsze: że wszystkie pisma, nie tylko u nas, lecz i zagranicą zajmują się tą kwestją i nowymi objawami owej dziwnej, medyumicznej jej siły, a powtóre: że na zasadzie wiadomości poezypniętych z różnych dzienników, podaliśmy w swoim czasie o zdemaskowaniu Eusapii w Cambridge. Zdemaskowanie to, jak twierdził dr. Ochorowicz, nie było niczem innym, jak tylko, złem przeprowadzeniem doświadczeń. Automatyczne ruchy medyum, którym nasz badacz nie zaprzecza, pozorne, tak nazywane, oszustwa, do którego eksperymentowana z pewnych przyczyn, skłonność mieć musi—dały powód do sądów opacznych. Że zdemaskowanie nie było udowodnione, upewniamy nas dalsze, że świetnym skutkiem połączone doświadczenia, o których wspomina organ naukowy francuzki: „Annales des sciences psychiques.“

Pp. Sabatier, dziekan wydziału przyrodniczego w Montpellier; de Roches, inżynier, autor książki p. n. „Exteriorisation de la sensibilité,“ dr. Daries, redaktor „Annales des sciences psychiques.“—I. Maxwell, prokurator; de Gramont dr. fizyki i de Wattewille, przyrodnik, podpisali sprawozdanie, w którym stwierdzono znowu rzeczywistość zjawisk medyumicznych.

Na tych posiedzeniach zwrócono szczególnie baczną uwagę na objawy automatyczne, inaczej, na tak zwane „oszustwo bezwiedne.“ Idąc za radami i doświadczeniami obserwatorów Cambridge'skich, pilnowano i notowano skrzętnie każdy podejrzan ruch ręki lub nogi i wygłoszono następujące zdanie:—„Pomimo wyteżonej uwagi, pomimo znajomości możliwych sposobów i sztuczek, *ani razu* nie złapał medyum na uczynku oszustwa! Zauważono wprawdzie kilkakrotnie ruchy podejrzone, lecz i wtedy, kiedy kontrola uznana została przez eksperymentatorów za niedostateczną, niektóre zjawiska występowały w takiej odległości od medyum, że nawet przy zupełnej swobodzie rąk i nóg, Eusapia, wywołać ich w żaden sposób nie mogła. Do najciekawszych należy oddziaływanie z odległości, bez dotykania, w pełnym świetle, przy doskonałej kontroli rąk na ważkę od listów, która opadała i podnosiła się kilka razy z rzędu!

Widziano też przy pełnym świetle kompletną lewitację stołu, jako też ciężkie drzwi kredensu, stojącego w takiej odległości, że Eusapia ani ręką ani nogą dosięgnąć ich nie mogła, otwierające się i zamykające w takt poruszeń jej dłoni, kontrolowanej nieustannie. Klucz wetknięty w zamek tegoż kredensu obracał się sam w jedną i drugą stronę. Widziano też mglisty kształt ręki bujającej w powietrzu i dotykającej obecnych.

Cóż teraz?

Na dwoje babka wróżyła—powiada ludowe przysłowie. W podobnych wypadkach nic łatwiejszego, jak zaprzeczyć, nic trudniejszego, jak udowodnić. Najlogiczniej, zdaje się nam—czekać; z mgły niepewności pierwiej czy później światło prawdy wyłonić się musi, a gdy nam się śmiać zechce i od bezsensów rzeczy podobne traktować, niechaj przed zbyt wczesnym sądem powstrzyma nas dokument z Kensington.

W tych dniach zwiedzałem obie wystawy nasze; arcydzieł niewiele, ale nowości jest trochę i parę rzeczy, dla których obejrzenia nie szkoda nieco czasu poświęcić. Ponieważ po drodze był mi hotel Europejski, zaszedłem tedy na wystawę Krywulcia; gdzie się znajdują obrazy niedawno zmarłego a pełnego talentu malarza, Siekierza, oraz, wysoce cenione przez sprawozdawców trzy płótna p. W. Szymanowskiego: *Thacz*, *Sielanka* i *Upał*.

O dwóch pierwszych nie wiele mam do powiedzenia: *Thacz* dość mi się podobał, *Sielanka* żadnego nie zrobiła wrażenia. Nie rozbierając zalet pędzla, poprawności rysunku, sądzę o rzeczy według doznanego wrażenia, a tego nie doznawałem wcale. *Upał* to już rzecz innej wartości. Łan pszeniczny, pozółtkły od skwarów słońca, czyni bezwarunkowo potężne wrażenie, tu też udało się wyśmienicie malarzowi wywołać efekt rozpalonego nieba, rozpalonego do białości, które zieje gorącem, pali, niedozwalając piersi ludzkiej odetchnąć swobodnie. Malarz, że tak się wyrazimy, nakropko-

wał niebo farbą błękitną i białą, marmurkowato to nieco wygląda, ale olbrzymie czyni wrażenie ciepła. Mniej mi się podobał człowiek idący przez łan. Usunął tło a niedostrzeżemy w idącym znużenia. Przymknięte jedno oko nie dowodzi olśnienia, zdaje się, że idący uczynił to w zamiarze dojrzenia czegoś zdaleka. Pot kroplisty nie ocieka mu z czoła, chód ociężały charakteryzuje tylko dobrze naszego włościanina. Tak patrzeć może, tak iść i nie podczas znoju. Ale łan i niebo są świetne; bez podpisu, co obraz oznacza—czujemy skwar. To dosyć. Malarz dopiął zamierzzonego celu.

Zwróciliśmy także uwagę na obraz zatytułowany: „Noc przy brzegach Capri, Petry Ernesta.“ Morze faluje lekko, srebrny księżyc długim pasem drga w kołyszących się falach. Złudzenie wyborne. Na brzegu przy ścianie olbrzymiej skały płonie ognisko, dwa światła harmonijnie łączą się z sobą, nie nowe to, cóż z tego, gdy jest piękne.

Idziemy do T. Z. S. P. na wystawę konkursową rzeźb.

Bądź co bądź, rzeźbiarstwo, nie tylko u nas, szuka sobie dróg nowych. Dotąd zapatrzeni byliśmy na sztukę grecką, pociągały nas idealnie piękne ciała, chcieliśmy koniecznie dorównać prastarym mistrzom hellenskim, zapominając, że nie się nie powtarza, że wszelkie arcydzieła w tym stylu tworzone, będą, może świetnem, lecz tylko—naśladownictwem. Rzeźba grecka wypowiedziała swoje ostatnie słowo, czy przeto my nie możemy mieć głosu? Musimy tylko wyszukać dróg innych; hołdując piękemu ciału, możemy też poszukać rysów charakterystycznych, wyrazu duszy. A ona przecie nie koniecznie się wyraża w olimpijskim spokoju bożków greckich, w nieskazitelnej czystości linii. Grecy, bogów ścignęli na ziemię, ludzi ku niebiosom podnieśli i stworzyli półbogów o tak idealnych ciałach, jakich na ziemi nie spotkać. Nam nie nadludzi, lecz ludzi tworzyć potrzeba. To jest zadanie współczesnej rzeźby. Klasycyzm jednak dotąd pęta nogi pracownikom dłuta, lecz czuć się dają już nowe powiewy.

Z rzeźb widzianych na konkursowej wystawie wysnuliśmy zdanie, że jeszcze stoimy na rozdrożu. Dwa światy płaczą się wciąż, reminiscencye ciągną, lecz są i oryginalności ślady. Dobrym jest „projekt pomnika“ panny Gersonówny, lecz coś, podobnego w części już gdzieś widzieli. Al przypominamy!—to Canowa; we Wniebowzięciu Bogoczyka znać wpływ düsseldorfskiej szkoły, Thorwaldsen patrzy z postaci Błogosławiącego Chrystusa. W wielu razach widać zresztą łamanie się, szukanie czegoś nowego, szczególnie w portretach. Najdoskonalszym jest „Sabała“ Wojciecha Brzezi, rzeźba w drzewie, typ doskonale schwycony, wykonany śmiało z wielkim poczuciem artysty. Artysta nie wyidealizował starego górala, lecz zaklął go żywcem w drzewo. Otrzymał trzecią nagrodę. *Pierwszą* nagrodą odznaczoną została rzeźba p. n. *Zima* Konstantego Laszczki. Modelowanie dobrze pochyłonej postaci, śpiącej snem twardym, *drugą*—*Zniewiarka* Lewandowskiego. Arcydzieł nie ma, ale są rzeczy bardzo dobre, a że kilka nowych talentów na jaw wystąpiło, dobrą myśl miało Towarzystwo Zachęty, ogłaszając konkurs rzeźbiarski.

Nie od rzeczy tu będzie wspomnieć o pierwszej wielkiej, artystycznej rozkoszy jakiej już w ciągu lata bieżącego roku doświadczy gród syreni. Będzie nią *Panorama Tatry*, malowana z inicjatywy i kosztem doktora Henryka Lgockiego, krakowianina, znanego mecenasa sztuki. Olbrzymie to ma być dzieło, wartości artystycznej a imponujące rozmiarami. Długość panoramy wynosi sto piętnaście, wysokość piętnaście metrów. Naczelne kierownictwo nad dokonaniem dzieła objęli: L. Rollers i Janowski przy współpracownictwie pp. Rodziejewskiego, Zelechowskiego, Jasińskiego, Mańkowskiego i Wankiego. Malarze rozpoczęli pracę około panoramy w Październiku roku zeszłego a skończą w Maju. Szybkość ogromna—a niecierpliwość nasza jeszcze większa.

Ci, którym się udało zwiedzić monachijską pracownię malarzy nie mają słów do wypowiedzenia zachwyty, jakkolwiek nad niedokończonym jeszcze dziełem. Widz znajduje się, jak gdyby na wysokości 2,260 metrów na „Wierchach miedzianych“ z tego bowiem punktu malarze odbywali studia.

Dokoła potrzęcego i nad nim, piętrzą się karpackie olbrzymy, wspinają się wyżej i wyżej, pod niebo samo a wysokość ich dosięga 2,600 metrów. U stóp pełne ezaru rozciąga się „Morskie oko“ a dalej „Kościeliska dolina“ znana z niezrównanej piękności swojej.

Znakomitym ma być punkt wybrany przez malarzy. Nie szczędząc pracy i zabiegów sumiennie wykonali swoje zadanie. W ciągu sześciu tygodni dziewiętnaście razy wdzierali się na „Wierchy miedziane“ dla zdejmowania szkiców, z których obecnie wspaniałe dzieło powstaje.

O czym jeszcze wam pisać?

Karnawał minął i sądzimy, że nie pozostawił złego wspomnienia po sobie. Hulanoż bo, hulano, a i kochano się po trosze, bo wedle statystyki wykazów metryk ślubnych do tysiąca par stanęło przed ołtarzem. I czegoż chcieć więcej jeszcze od karnawału?

Od paru już miesięcy nie mogę niczem innym skończyć pogawędki, jak tylko wspomnieniem pośmiertnym. I teraz boleśnie zostałem dotknięty wieścią o zgonie Władysława Wszelaczyńskiego, artysty-muzyka świeżo zmarłego we Lwowie. Znałem osobiście nieboszczyka, a niezapomnę nigdy pewnego wieczoru, który spędziłem w gościnie u niego. Ujął mnie szczeropolską swą serdecznością a utkwiał w pamięci odegraniem na strunach fortepianu tańca Elfów.

— Chodź—rozmarzę ciebie—rzekł do mnie.

Weszliśmy do sali, światło było przyćmione, że ledwie słabe blaski błakały się po ozdobnych ścianach. Wszelaczyński otworzył wieko fortepianu i na jego strunach grać począł.—Przedziwna to była muzyka, pełna dźwięków tajemniczych, szeptań i wzdychań, szmerów i wołań. Zdawało ci się, że słyszysz gdzieś fal poplusków, że z cichych wód jeziora wyłaniają się duchy zakłete i fantastyczny ton swój wiodą. Brzmi pieśń, odpowiadają echa; lecz nie wiesz z kąd dają, dokąd biega. Pieśń płynie zdali niezmiernie, z gęstwy lasów, rozpada się na dźwięki, coraz ciszej, coraz, ciszej... Skonała.—Daleko daleko—hen—hen—drży echo tylko, ale tak cicho, tak sennie, że nie wiesz sam, czy to śpiew przez nie powtórzony, czy tylko twoje własne o pieśni wspomnienie.

Wszelaczyńskiemu do grobu towarzyszył żal ogólny. Dobry był nad wyraz, uczynny w całym znaczeniu tego słowa. Jako muzyk, po długim pobycie zagranicą zasłynął w Galicji, naprzód w Tarnopolu, a od lat dziesięciu we Lwowie, gdzie był profesorem szkoły fortepianowej w konserwatorium Tow. Muzycznego. Wychował całe pokolenie uczniów, z których kilku wybitnym odznaczyło się talentem. Umarł z choroby sercowej.

Do strat niemałych zaliczyć musimy i śmierć s. p. Felicji Krzywickiej zmarłej w d. 14 lutego b. r. Była to jedna z ostatnich, czeigodnych i bogobojnych matron naszych. S. p. Felicja wraz z siostrą swoją od r. 1854 do 1882 r. stała na czele pensyi cieszącej się uznaniem w kraju całym. Z pod jej opieki wyszły kobiety, które naszemu pokoleniu świecić będą przykładem cnót chrześcijańskich i obowiązków obywatelskich. W domu nieboszczyki niegdys ogniskowało się życie miasta, w sprawach ogólnych do ostatka czynny udział brała, była opiekunką ochron, pocieszeniem smutnych, aniołem dobrej rady, wsparciem i otuchą potrzebującym.—W naukowym zakładzie s. p. Felicji kształciło się nie małe grono warszawianek oraz dziewcząt z W. X. poznańskiego, płockiego i lubelskiego. Pensya ta stała tak, że w r. 1864 wykładano na niej chemię, fizykę, higienę i t. d. Na pogrzebie był zjazd liczny, młode dziewczątka uśmiechające się do światła i siwowłose matrony szły za trumną z sercami przepełnionymi żalem. Złożono mnóstwo wieńców, dawne zaś jej wychowawice postanowiły, zebrać fundusz „imienia Felicji i Emilii Krzywickich“, któryby bądź w Warszawie przy Schronieniu dla Nauczycielek, bądź przy miejscowym Tow. Dobr. wytworzył stałe wsparcie dla ubogiej nauczycielki.

S. p. Felicja urodziła się w 1814 r. we wsi Chechły, w d. woj. san. Była córką Feliksa i Maryi z Roszkiewiczów.

Pokój jej prochom!

??

KĘDY DROGA?

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

Wandę Grot-Bęczkowską.

(Dalszy ciąg).

Między drzewami od strony jeziora ukazał się Dembiński. Szedł wolno zadumany, a na wyrazistej jego twarzy malowała się troska. Błądy był i znudzony. Nie dostrzegł Amelki, obserwującej go pilnie, i wówczas dopiero, gdy dziewczę z żywą radością podbiegło ku niemu, ocknął się i spojrzał na nią, jak człowiek zbudzony nagle z niepokojącego a ciężkiego snu.

Amelka zauważyła stan jego niezwykły.

— Co się stało, doktorze?—pyta wprost, przyglądając mu się badawczo.

Twarz Dembińskiego przybierała z wolna zwykły wyraz łagodny; na ustach pojawił się uśmiech.

— Rad jestem, że panią pierwszą witam, p. Amelio! — odezwał się, ściskając rękę jej serdecznie.— Czy to nie za chłodno spacerować o tej porze? Jesień na dobre daje nam się we znaki.

— To nic—odparła. — Ale pan wydajesz mi się zmienionym, doktorze?

Zarumienił się lekko.

— Zdrow jestem! Upewniam panią.

— I matka pana zdrowa?—spytała nieśmiało.

— Dziękuję pani! — odparł z wdzięcznością. —

Matka, będąc ciągle chorymi zajęta, sama niema czasu chorować. Otworzyliśmy nową salę w szpitalu. A cóż słyszeć w Zarzeczcu? Roboty, słyszę, postępują szybko i budynek szkolny przed wyjazdem pań zostanie ukończony! Pojmuję, ile to pani sprawia radości!

— O tak!—przyznała szczerze.—Dzień wyjazdu naszego wciąż odkładany, zbliża się jednak szybko. Chciałybyśmy przedtem widzieć choć w części plany nasze spełnione.

— Czy... czy i p. Janinę kwestya ta interesuje?—spytał wahająco Dembiński.

— O! niech pan nie sądzi, że dla Jani jest ona obojętną—zawołała z wybuchem uczucia Amelia.— Moja droga siostra jest mi we wszystkim pomocą. Tylko—dodała uśmiechając się ślicznie,—ja jestem papla i głośno mówiąc o wszystkim zdradzam się ciągle...

Dembiński spojrzał na nią z wdzięcznością.

— Jaka też pani dobra!—szepnął.

Zarumieniła się. Czuli się niewymownie szczęśliwą, spacerując z nim po szerokich alejach parku; miły, wztuszony głos jego napełniał serce jej rozkoszą.

Jak gdyby myślom swoim odpowiadając, odezwała się z żalem:

— Smutno nam będzie rozstać się z Zarzeczem! Dembiński stłumił westchnienie.

— Odwykniecie panie rychło wśród tych zabaw i gwaru miasta od cichego wiejskiego życia — rzekł na pozór swobodnie. — Ale widzę, że pani oswoiła się już z niezbyt przyjemnymi warunkami tutejszemi?

— O! to nie tak łatwo!—odparła szczerze.—Potrzeba dokładnej znajomości charakteru ludzi, z którymi się obcuje, ich zajęć i obyczajów... Obiedwie z Janią popełniamy wielorakie błędy: sądzę, że czas dopiero będzie nam najlepszym mistrzem... Opowiedziała mu o żądaniu Gwiazdy.

— Co począć w danym wypadku, doktorze?—pytała z ufnością.

Zamyślił się.

— Czekać!—rzekł. — Radykalnym środkiem będzie dopiero czas... Niechaj światło wnuknie do tych ciemnych umysłów, a wtedy łatwiej działać można. W takim Zarzeczcu, od lat tyłu zaniedbanem, wprowadzać zmiany jakies, przychodzi oczywiście z trudnością, bo chłopci bezwiedni zwolennicy konserwatyizmu, obstawiać będą przy dawnych

nawyknieniach i trudno ich przekonać. Co do Gwiazdy na przykład, pewien jestem, że gdy mu pani dzieci odeśle, a zrobić to trzeba—będzie żałował i skoro przyjdzie mu znów o nich myśleć, karmić, odziewać—zwróci się do dworu ponownie. Znam ja tutejszy lud cokolwiek i pamiętam, co się działo w Zambrówce... Niechaj to panią jednak nie zraża...

— O! bynajmniej!—przerwała. — Wiem, że początek bywa zwykle trudnym.

Zbliżali się ku domowi.

— Cóż porabia p. Janina?—spytał po chwili Dembiński.

— Janinka wyjechała konno z hrabią Brunonem, który zjechał nas wczoraj niespodziewanie.

Dembiński pobrał.

— A! więc hrabia jest w Zarzeczcu?—odezwał się przytłumionym głosem. — Przypuszczałem, że nadchodząca pora mgieł i deszczów skłoni tego pieszczocha, do szukania słońca i pogodnych błękitów w cieplejszym klimacie. Czy nigdzie na zimę nie wyjeżdża?

— Nie wiem!—odparła pomięszana, zauważwszy nagły niepokój Dembińskiego.

Szedł dalej milcząc i potracając laską niecierpliwie zeschłe, opadłe z drzew liście.

W tem rozległ się tentent i gdy dochodzili do ganku, Janina tuż przed niemi zręcznie osadziła konia. Ślicznie wyglądała w ciemno-szafirowej amazonce i małym męskim kapelusiku. Zarumieniona, z oczyma błyszczącymi uśmiechała się do nadchodzących, tym uśmiechem prawdziwej dobroci, jaki w rzadkich tylko razach zjawiał się na jej ustach.

— Mieliśmy zamiar przejechać się jeszcze—mówiła, wyciągając ku Dembińskiemu rękę,—ale skoro zastajemy miłego gościa...

Dembiński pomógł jej zsiąść z konia,

— Użyła pani liczby mnogiej, a tymczasem nie widzimy hrabiego?—pyta spokojnie, prawie nie patrząc na nią.

— Ach!—westchnęła. — Zjawi się tu wkrótce ze swoją apatyczną, pomiętą twarzą. Powiodłam go umyślnie na uroczysko, tam gdzie to pamiętasz, Amelciu, omal nie utopiłam mojego Araba?...

Amelka spojrzała na nią przerażona.

— Jak mogłaś uczynić to Janiu?—ozwała się z napomnieniem.—Co za szalona nierozwaga!

— O cóż to chodzi?—pyta Dembiński zdziwiony.

— Ale bo pan nie wie!—mówiła poruszona Amelka. — Jania cudem tylko nie stała się ofiarą strasznego wypadku. Koń jej zapadł się w trzęsawiskach, na owem uroczysku właśnie, o którym wspomniła przed chwilą i zręczności jego zawdzięcza jedynie ocalenie. Ach Janiu! Czy to rozsądnie narażać się powtórnie na niebezpieczeństwo? Dembiński całą słą woli zapanował nad wzruszeniem.

— Dzieci grzeszą często nierozwagą i junakierią, którą się popisują lubią,—rzekł.—Nie należy puszczać ich bez kierownika...

Żartował, pozornie spokojny ale patrzył na Janinę wzrokiem ponurym i wyrzutów pełnym.

— Morał chybiony p. doktorze!—zawołała śmiejąc się Janina. — Miałabym jeszcze coś do powiedzenia w tej kwestyi, ale wyznam szczerze, iż tak mi jest obojętną... Tymczasem jak pan widzisz, opiekuńcze bóstwa strzegły troskliwie mego młodego życia i powróciłam zdrowa...

Amelka widząc, że się na sprzeczkę zanosi—co między tym dwójkiem było rzeczą zwyczajną—przerwała siostrze pytaniem:

— Czyś utopiła hrabiego, Janiu?

— Nie stałaby się wielka krzywda społeczeństwu...—uśmiechnęła się pogardliwie.—Pociesz się, kochanie! Drogi nasze rozeszły się koło borowskiej granicy. Hrabia, ponieważ pogniwaliśmy się jak zwykle, udał się na prawo, a ja na lewo... Zobaczysz go wkrótce, nie lękaj się!...

W kwadrans potem zebrał się wszyscy w salonie. Janina w popielatej kortowej sukni i ślicznym różowym fartusku, który różowym też odcieniem oblewał jej piękną twarz, z poważną miną wyszywała na kanwie rajskiego ptaszka, nie zwracając uwagi na otaczających.

Hrabia z Amelką sprzeczał się o świeżo przeczytaną powieść; Dembiński na uboczu przerzucał kar-

ty dziennika, spoglądając kiedy niekiedy na Janinę.

Smutny, rozczulony wzrok jego zmieniał się atoli szybko, gdy błyszczące jej oczy pobiegły czasem ku niemu.

Janina podrażniła obojętność Dembińskiego. Inny byłby się przeraził, byłby rozpaczął, dowiedziawszy się o niebezpieczeństwie jakie jej groziło, gdy tymczasem on przyjął to tak spokojnie, lekceważąc prawie.

Gdyby ją kochał... Ale nie kocha. I ona, której się zdawało, że zna mężczyzn, łudziła się... To zabawne! Za to teraz pokutuje... Stara się wprawdzie wmówić w siebie, że ją to nie a nie nie obchodzi, ale w sercu tkwi cierni zawodu... Oczywiście to miłość własna dotknięta jedynie, ale czemuż oczy zasnuwa mgła wilgotna i świat czyni naraz pustym i smutnym? Otóż właśnie że nie! Nie czuje dla niego nie i nigdy nie czuła. Chwilowy kaprys, zabawa!... Cóż dziwnego zresztą, że w gronie młodzieży niewybrednej i pospolitej, on podobał jej się najwięcej? Ale pomiędzy podobaniem a miłością istnieje przepaść olbrzymia!

Wynikiem rozmyślań tych był rachunek sumienia, zrobiony na przędce. Czy nie zdradziła się kiedykolwiek? Czy Dembiński nie odczuł sympatii jaką dla niego żywiła? Bo że żywiła istotnie, to fakt, którego istnienia zaprzeczyć nie może. Przypuszczała, że jest innym niż wszyscy, że może, może kiedyś zmieni jej sąd o ludziach, o życiu...

— Pani niezwykle dziś zadumana, p. Janino?

Ach ten głos! Dźwięczny, miły, a przecież nienawistny dla niej teraz w chwili tej wątpliwości i gorzkich rozmyślań.

Dembiński usiadł przy niej.

— Jak chmury po błękitach tak po twarzy pani przesuwały się myśli nie wesołe, lub może bardzo poważnej natury — mówił zwolna z obojętnością, która ją raziła.

— Pan przypuszcza, że umiem myśleć poważnie? Uśmiechnął się lekko.

— Kobieta jest to niezgłębiona studnia sprzeczności... — rzekł, siląc się na ton żartobliwy.

— Aforyzm, którego nie należy rozwijać... — powiedziała niedbale, udając, że z zajęciem dobiera włóczki.

Dembiński zapatrzył się na nią.

Jakże urocza wydała mu się w skromnej codziennej sukience, z ciemnym warkoczem spuszczonej na plecy swobodnie, zmieszana czegoś, zalękniona.

Taką, jaką była w tej chwili, chciałby ją mieć dla siebie na zawsze.

— P. Janino! — szepnął miękko, ogarniając ją ciepłym spojrzeniem — porozumiejmy się...

W głosie jego dźwięczała nuta tkliwości, którą delikatne ucho Janiny wnet dosłyszało.

Komedia czułości — pomyślała. Jaka zręczna taktyka w celu uwikłania niedojrzałych, lub łatwo zapalnych umysłów... O! nic z tego, p. doktorze! — Czuję, że gniew ją dławii, a może ży, obrażonej miłości własnej oczywiście...

Jak on śmiał nazwać ją dzieckiem, posądzić o jankieryę, obliczoną na efekt?...

— Nie sądź, aby pomiędzy nami nastąpiło kiedykolwiek porozumienie — ozwała się z obojętnością prawie lekceważącą. — Z odmiennych punktów widzenia zapatrujemy się na sprawy pięknego, lecz na wskroś obłudnego świata.

Dembiński spojrział na nią zdumiony. — Uraził go ton mowy, uśmiech ironiczny i zabołało powątpiewanie, jakoby kiedykolwiek porozumieć się mogli.

— Jaka to szkoda — rzekł poważnie — że brak pani sercowego na ten świat poglądu...

Zarumieniła się z gniewu i odparła:

— Chciej pan wierzyć, że wytęzam wzrok, pragnąc dojrzeć coś w dali, a nie widzę nic... Czy to moja wina?

— Oczywiście. Te młodziutkie, nowożytnie reformatorki mają przekonanie głębokie, że ich zadaniem jest moralizowanie całego świata... — uśmiechnął się pobłaźliwie. — P. Janino, odpowiedz mi pani szczerze: czy siostra pani nie jest szczęśliwszą ze swoim optymizmem? Pani wciąż dociekaasz, wciąż czegoś szukasz i tracisz wiarę, która uszczęśliwia każdą istotę ludzką...

— A pan, doktorze, poświęciłeś się, jak widzę, leżeniu nie tylko ciała, lecz i ducha... — roześmiała się głośno Janina. — Niech to pana nie urazi; za nic nie

chciałabym być pacjentką pana, ani w pierwszym, ani w drugim wypadku...

Zebrała szybko włóczki i powstała.

Dembiński podniósł się także. Wzrok mu błyszczał ponuro, jednakże nie chciał okazać, że słowa jej ból mu sprawiły.

— W obec takiej kapryśnej pacjentki, zawód lekarza byłby trudnym i uciążliwym... — rzekł żartobliwie. — Mam nadzieję, że nas los oboje od tego ustrzeże.

Wejście p. Heleny przerwało rozmowę.

Wzburzenie Janiny nie uszło jej oka; przyciągnęła ją ku sobie pieszczołliwie, patrząc badawczo w smutne i zadumane oczęta córki.

Rozmowa stała się ogólną.

Mówiono o Zambrówce, o nieszczęśliwej po Orzelińskim wdowie, dla której Dembiński nie miał dość słów pochwał i uznania.

Między innymi, opowiedział wypadek z Szerszyńskim podczas choroby Olesia, czem żył w oczach p. Heleny i Amelki wywołał.

— Smutny fakt! — odezwał się hrabia.

— Oburzający! — zawołała Amelka.

— A przyczyna zawsze jedna i ta sama — zauważyła Janina. — Człowiek eksploatuje człowieka... Wstrętny układ!

Dembiński ukradkiem spojrział na nią. Twarz miała rozrzmienioną, oczy błyszczały oburzeniem.

— Biedne małe chłopię! — szeptała, tuląc się do matki. — Biedny Oleś! Dlaczego nie odwiedziłyśmy dotąd p. Orzelińskiej, mateczko?

— Tak jakoś zeszło!... — ale istotnie uczuwał wyrzuty sumienia — odparła p. Helena.

— Pojedziemy jutro, jeśli nie na przeszkodzie nie stanie... Wszak przejeżdżać będziemy koło cukrowni, doktorze?

— Tak, pani!

Drgnął, głos jej posłyszawszy, tak duszą całą zapatrzył się na Janinę, wzruszoną niedolą Orzelińskiej i dziwnie słodką.

— Wstąpimy poznać i odwiedzić szanowną matkę pana, doktorze — ozwała się jeszcze p. Helena z uprzejmym uśmiechem. — Dawno tego pragnęłam.

Dembiński skłonił się z wdzięcznością.

— Sprawi to nam głęboką przyjemność... — rzekł. Z jaką radością oczy Amelki pobiegły ku matce!

Janina projekt ten przyjęła obojętnie.

Późnym wieczorem po odjeździe Dembińskiego, który zabrał do siebie hrabiego Brunona, Amelka zapukała do buduaru siostry.

Janina nie spała jeszcze. Przetrawiała w sobie wrażenia dnia ubiegłego, to oskarżając Dembińskiego, to znowu karcąc samą siebie, a ta rozterka duchowa od dość dawna już gnębiła biedną dziewczynę.

Serce gorące i chciwe podziało uczuć, których całe bogactwo mieściło, rwało się ku tej miłości głębokiej, przejawiającej się w spojrzeniu Edwarda, w obojętnych na pozór słowach, dla niej przecież aż nadto zrozumiałych i jasnych. Gdyby mogła wierzyć? Ale nie wierzyła. Jak pęk kwiatu, który owad toczy zwolna, tak młodą jej duszę uciskało zwątpienie i zniechęcały przykłady, jakie przed oczyma miała.

Zaledwie miesiąc kilka upłynęło od powrotu do domu, a jakże zmienił się kierunek jej myśli, zapatrywania, poglądy!

Wrodzona atoli skrytość nie pozwalała zwierzyć się najbliższym i to kwestyę pogarszało jeszcze. Dziewczę gubiło się w abstrakcyach.

— Nie śpisz? — pytała, wchodząc, Amelka.

— Miałam zamiar pisać do Natalki... — odparła spuszcżając wzrok ku ziemi.

Zabolało ją to drobne kłamstwo, ale zdradzić się z myślami swemi nie chciała.

Amelka stanęła przy oknie.

Księżyc wybiegł właśnie z za chmur i jasnym światłem posrebrzył drzewa i jezioro. W Zambrówce migotały światła. Wysokie kominy fabryk strzelały w górę i odcinały się wyraźnie na szafirowym tle nieba, wyrzucając snopy iskier, które klóciły się z bladymi promieniami księżyca. Tu nie było nocy. Gdy po jednej stronie jeziora strudzonej rolnik odpoczywał i snem pokrzepiał siły, tam czarne cienie przesuwały się bezustannie, światłem purpurowem oblane, gwar przerywał ciszę.

Amelka zadumała się. Pociągał ją obraz tej pracowitości trzeźwej i ruchliwej, czuła nieledwie szacunek dla tych ludzi, rzadkie chwile obracających na wypoczynek, a przecież swobodnych i wesołych. Jaka olbrzymia różnica z zarzeczką ludnością naprzykład, próżniactwu i pijaństwu oddaną...

I czy rychło zdoła ona zaprowadzić tu zmiany, ulepszyć, podnieść ten lud skarlały, pozbawiony dotąd światła i nędzą spodlony?

— Cieszę się, że pojedziemy jutro do Zambrówki — odezwała się po długiej chwili, siadając przy Janinie. — Poznamy dokładniej życie fabryczne i system, jaki tam p. Dembiński zaprowadził.

— Czy nie jesteś ciekawą poznać jego matkę? Wyobrażam sobie, że to musi być coś zacofanego... Staruszcza prócz książki do nabożeństwa i drutów z bawełną, nic innego pewno w życiu nie oglądała? — rzekła ze sztucznym uśmiechem Janina.

— O! już zaczynasz! — przerwała z niechęcią Amelka. — Nie lubię, gdy jesteś w takim usposobieniu... Oglądam się zaraz czy na stoliku twoim Swift nie leży...

— Upewniam cię, że nie, chociaż wyznaję szczerze, że inczi p. Jonatan Swift jest moim ulubieńcem. Są chwile kiedy istotnie radabym kąsać uszczypliwem słowem najmilszych moich bliźnich...

Zartowała ze zwykłą pustotą, chcąc uwagę Amelki od swojej pobladłej, zmęczonej twarzy odwrócić.

— Musiałaś dokuczyć dzisiaj p. Dembińskiemu — ozwała się z cicha Amelka. — Widziałam, że z trudnością wzburzenie pokrywał. Wstydz się Janiu!

— Niesprawiedliwą jesteś! — wybuchnęła Janina. — To on mi dokuczał... Dziwię się nawet, że pozwoliłam na to... Mamie i tobie względność moja zawdzięcza jedynie. Zrobiliście tu wszyscy z niego półboga, a to tymczasem najzwyczajniejszy śmiertelnik...

Amelka przyglądała jej się ze zdumieniem.

— Nie pojmuję cię i nie poznaję Janiu! — rzekła. — Co się z tobą stało? P. Dembiński taki uprzejmy, taki uważający! Nieraz uraził go już i słowem niegrzecznym i obejściem chłodnym, on udawał, że tego nie spostrzegła i przebaczał ci...

— A to zabawne! — roześmiała się Janina. — Czy miał się mamie poskarżyć? Ja znowu nie pojmuję, czemu ty go bronisz?... Jest takim z pewnością jak inni mężczyźni i nie potrzebujesz go idealizować. Odwdzięczę mu się jutro za ten wieczór dzisiejszy...

— Nie uczynisz tego! — zaprzeczyła z powagą Amelka. — P. Dembiński zresztą nie pozwoliłby na to. Czy nie zwróciłaś uwagi, że od pewnego czasu zmienił się jego humor? Może ma jaką troskę, a może... — tu licza dziewczyny zbladły nagle — może słabym się czuje? Nie wyobrazisz sobie jak dziś źle wyglądał, kiedym go w ogrodzie spotkała?

— Przywidzenie! — szepnęła niepewnym głosem Janina.

— Wcale nie. Coś go nurtuje, coś gnębi! I mama to zauważyła...

Janina odwróciła twarz ku oknu, by uniknąć wzroku siostry i wstrząsnęła się... Uczuła naraz dotkliwy chłód...

— Przydałby się nam ogień kominkowy, — rzekła. — Zadzwoń, aby napalono.

Amelka oparła głowę na jej ramieniu i wyszeptała:

— Czy wiesz Janiu, co mi przyszło do głowy? Dembiński jest zakochany! I to cały sekret!

Janina drgnęła.

— Zakochany? Zkąd takie przypuszczenie? — pyta rozśmieszona niby. — Choć nie byłoby to niepodobnego, moja ty śliczna wróżko! A czy mały paluszek nie powiedział ci w kim?

Amelka milczała. Widać było, że waży coś w myśli, zastanawia się, przypomina...

— Może w Orzelińskiej? — szepcze wreszcie cichutko.

— W Orzelińskiej?

Piękne rysy Janiny skurezyły się bólem nagłym i tak dojmującym, że gdyby nie własna troska, która i Amelkę pochłoneła, z pewnością tajemnica Janiny ukrywana dotąd tak starannie przestałaby być tajemnicą.

Milczały długo.

— Orzelińska jest podobno sympatyczną i wcale jeszcze przystojną — zaczęła po chwili Amelka. —

P. Dembiński mówi o niej zawsze z niekłamanym współczuciem, nieledwie czcąc...

— Masz słuszość! — przerwała Janina zgnębiona. — Uważałam to wielokrotnie.

— Są takie szlachetne charaktery, które nie-szczęście przyciąga — dodała jeszcze Amelka. — P. Dembiński, imponując siłą i prawością, posiada przytem tkiwość i słodycz kobiecą...

Umysł Janiny przeżuwał tymczasem gorycz tego spostrzeżenia, utwierdzając je coraz nowymi przypominieniami. Dembiński intrygował ją zawsze jak zagadka i zdawało jej się, że teraz dopiero pojęła wszystko. Orzelińską kochał od dawna; ona, Janina, pociągnęła go ku sobie urokiem nowości, więc chwilowo uległ, jak to przecie wszyscy mężczyźni potrafią. Tamtej, idealnej, nie traktuje z pewnością, jak niesfornej dzieciaka, któremu nauki w rodzaju dzisiejszej naprzykład udzielać można.

Myśli i uczucia dziewczyny tak się rozbijały, że ująć je w karby logiki niepodobna było.

Amelka uspokoiła się wkrótce. Jeżeli Orzelińską kocha — pomyślała — to będzie z nią szczęśliwym, bo niepodobna przypuścić, aby ona nie kochała go również.

Więc musi ją to zadowolić, ją, która przecież tego tylko szczęścia pragnie!

Wzruszona, ale spokojna, ucałowała siostrę i odeszła, ode drzwi jeszcze rzuciwszy Janinie zapewnienie, że jutrzejsza wizyta w Zambrówce sprawi jej wiele przyjemności.

— Poznamy tę znaną staruszkę, której ręce ze czcią ucałuję... — dodała na zakończenie.

Janina, co do siebie, daleką była od urzeczywistnienia jutrzejszych projektów. W obecności siostry panowała nad sobą, o ile mogła, wzburzenie jednak ogarniało ją co raz silniejsze.

Edward Dembiński pociągał ją i odpychał razem. Postanowiła nie pojechać do Zambrówki, a względem Dembińskiego zastąpić się puklerzem mileżącej dumy.

Roznamiętniona, rozgorączkowana, nie zważając na chłód nocny, wybiegła do parku. W cieniach szarego zmroku lub w srebrzystej powodzi księżycowych blasków, w obec toni jeziora drzemiącej cicho i drzew stojących nieruchomie, wzburzenie jej zwolna uciszać się zaczęło. Godzina późną już była, wieś spała i w ciemne okna pałacu księżyc jeno zaglądał ciekawie. Wtem od strony wsi coś się ruszyło. Czy to liść spadł z drzewa, poruszony wiatrem? Nie! przeczyła temu cisza nocy i drzewa stojące nieruchomie, i jezioro gładkie jak zwierciadło. A jednak za tym nieuchwytnym szmerem ozwały się co raz wyraźniejsze, lekkie stapania.

Janina obejrzała się niespokojnie. Ku pałacowi biegł szybko mężczyzna, z odkrytą głową, włosom rozwianym, spojrzeniem dzikiem, wystraszonem. Koszula podarta w strzępy wisała mu na plecach, w chudych rękach trzymał ogromną gałąź sośniny i wywijał nią w powietrzu z jakimś desperackim rozmachem.

Kto to jest? Co to znaczy? — zadawała sobie pytanie Janina, sparaliżowana tym widokiem, nie zdolna uciekać, ani strwożonej myśli zebrać.

Psy podwórzowe odezwały się chórem. Nieznajomy zatrzymał się nagle.

Słuchał, ogładał się... wreszcie głośnym wybuchając śmiechem, potrzasnął gałęzią i rzucił się wprost ku Janinie z głośnym, dziwnie przejmującym śmiechem.

I w poświęcie księżycowych blasków rozpoczęła się straszna, szalona gonitwa. Oszalała trwożą dziewczę przesunęło się między drzewami w białym kaszmirowym szlafrocisku, z rozpuszczonemi już do snu warkoczami, a miękki szal, którym była okryta sterczał na kiju szaleńca.

— Mam cię, mam nareszcie! — krzyczał zachrypłym głosem, wywijając nim, jak sztandarem. — Gno-my, elfy, rusałki, pomóżcie mi schwytać dziwożone...

I biegł co raz szybciej; odległość pomiędzy nim, a uciekającą zmniejszała się... Przerzedziły się drzewa parku ogromna tafla jeziora stanęła przed niemi, w całym blasku swej tajemniczej piękności i księżycowych promieni.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

RUCH MUZYCZNY.

Od lat kilku na widnokręgu artystycznym pojawiła się nowa gwiazda, która w krótkim czasie zdobyła rozgłos szeroki od Morza Czarnego, aż po Ocean Atlantycki; mówimy o śpiewaczce, obecnie goszczącej w Warszawie i stale zapełniającej teatr Wielki.

Mira Hellerówna, dziecię Krakowa, należy do rzędu artystek, które zjednały sobie wprost publiczności, oprócz niepospolitego uznania, ogólną sympatię. Pamiętamy koncert znakomitej śpiewaczki, dany przed paru laty na cel dobroczynny w Krakowie; po raz pierwszy wtedy, po tryumfach we Lwowie, Odesie i Peszcie, wystąpiła artystka w rodzinnym mieście; oklaski i zapal, z jakim została przyjętą, świadczyły o wrażeniu silnym i niezatartem. Stwierdziła też krytyka tamtejsza to powodzenie, towarzyszące zawsze wysoce utalentowanej artystce.

Potem Mira Hellerówna dała się poznać Warszawie, gdzie od razu zelektryzowała tłumy: ognisty temperament artystki, jej uroda, wdzięk młodości, świeżość uczucia, a przedewszystkiem pierwszorzędne zalety głosu i umiejętności śpiewu, pociągnęły publiczność warszawską i pobudziły ją do szczerzego entuzjazmu.

W dalszym ciągu znakomita artystka zbierała laury zagranicą; w zeszłym zaś sezonie śpiewała w świetnym otoczeniu w Ameryce. Dziś znowu staje przed nami, jako wytrawna, skończona i dzielna interpretatorka natchnień wielkich kompozytorów.

Po pierwszym występie swoim w roli Walentyny, w „Hugonotach“, Mira Hellerówna wywołała burzę: niespodzianką bowiem był istotną ów występ artystki w sopranowej partyi. Dotąd śpiewaczka wykonywała role mezzo-sopranowe, obecnie, po przejściu odpowiednich studyów pod kierunkiem maistrów paryskich, Mira Hellerówna dawny repertuar rozszerzyła i spróbowowała sił swoich w nowym zakresie wokalnym.

Prawie od początku bieżącego sezonu pustkami świecący podczas przedstawień operowych teatr Wielki zapełnił się do ostatniego miejsca wytworną publicznością warszawską, która ucześnie rzadko i tylko na wyjątkowe widowiska; od wyjazdu Battistinięgo, dopiero po raz pierwszy sala teatru Wielkiego roiła się od tłumów słuchaczy.

Wszystkie wyższe aspiracje artystycznie uważać należy za objaw dodatni. Mira Hellerówna zapragnęła wkroczyć w dziedzinę, gdzie talent może szerzej rozwinąć swe skrzydła; tego jej za złe mieć nie można, owszem artystka zasługuje pod tym względem na poparcie. Rozumiemy też dobrze słowa, wypowiedziane przez nią w liście do redakcyj pism cedziennych. Artystka tłumaczy się, dla czego wystąpiła w partyi Walentyny. Pierwszorzędne powagi pedagogiczne i artystyczne skłaniały ją do rozwoju głosu w kierunku sopranu dramatycznego. Hellerówna powołuje się w tej mierze na Lukkę, Johna, Hanslicka, Oliviera, Mierzwińskiego i Reszków. „Nie jest to ani kaprys, ani upór mój — pisze artystka, że wystudyo wałam partyę Walentyny, lecz rezultat uwag i rad znakomitych profesorów i artystów.“

Dwukrotnie też wobec wypełnionego po brzegi audytorium odśpiewała partyę tę w „Hugonotach;“ potem zaś, jako Małgorzata w „Fauscie“ cieszyła się niemałym powodzeniem.

Uroczą, wyborną w charakterystyce zewnętrznej i w interpretacji wokalne, była „Carmen“ Miry Hellerówny. Prześliczny głos artystki brzmiał metalicznie, dźwięcznie i porywał soczystością kolorytu.

Słyszeliśmy oprócz tego znakomitą artystkę w partyi Santuzzy; była to kreacja wysoce dramatyczna, nakreślona dobitnie i pełna ognia oraz namietności: bohaterka Mascagni'ego znalazła w Hellerównie tłumaczkę wszystkich jej uczuć; charakter Santuzzy, jej miłość i chęć zemsty, późniejsza obawa i śmierć — każdy szczegół w interpretacji naszej artystki był wyborny. Głos zaś brzmiał tu metalicznie, silnie i dźwięcznie.

Po „Cavalerii“ przyszła kolej na „Mignon,“ owa śliczna postać, wysnutą z najczystszych natchnień. Postać tę uosabia Hellerówna przedziwnie: warunki zewnętrzne i doskonałość wokalna składają się tu na całość bez zarzutu. Artystka dwukrotnie w ubiegłym tygodniu Mignonę śpiewała z sukcesem nieporównanym, a publiczność, zawsze uczęszczająca na występy Hellerówny tłumnie, uczestniczyła i teraz w tych przedstawieniach, które nowem powodzeniem uwieńczyły skroń artystki.

Wznowienie „Mignony“ zeszło się prawie ze śmiercią jej twórcy, który dożył 85 lat wieku, czyli — jak się wyraża Władysław Bogusławski — „widział wschód i gasnięcie gwiazd na wszelkich ducha ludzkiego horyzontach, od Napoleona Wielkiego począwszy, aż do... Mascagni'ego; jako długoletni dyrektor konserwatorium paryskiego, wysłuchał wielu obetnic, które się nie ziściły.“ Cokolwiek o Thomasię można powiedzieć, jako o kompozytorze, to pewna, że był osobistością jedną z najsympatyczniejszych w świecie artystycznym, zdobył też szacunek powszechny.

Dobrze się wywiązuje z zadania obecny pierwszy tenor opery, p. Piecaluga, który, wprawdzie nie jest znakomitością, ale posiada piękny głos, dużo szczerzego uczucia i inteligencji. Drugi tenor, p. Stampagnoni, nie dorósł do tego poziomu, na jakim w operze się znajduje, śpiewał on zwykle z panią Klamrzyńską, lecz nie mógł dostroić się do swej towarzyszki, wytrawnej pod każdym względem śpiewaczki. Wysoce utalentowana artystka w ostatnich czasach odtworzyła doskonale „Violettę“ i takową gościnne występy na scenie naszej zakończyła.

P. Devoyod, obdarzony olbrzymim barytonem, po za swojemi „afrykańskimi“ partyami, niezbyt się podoba. Śpiewak nadużywa potęgi głosu i przez to narusza estetyczną równowagę interpretacji.

Z artystek naszych bardzo korzystnie wyróżnia się z otoczenia operowego młoda śpiewaczka, p. Przygodzka. Sumienna praca, staranność wykonania, prostota i niemały zarób liryzmu cechują sympatyczną artystkę. Niewątpliwie p. Przygodzka rozwinię bardzo pomyślnie niezaprzeczony talent, skoro pozyska więcej rutyny i śmiałości scenicznej.

Wytworną zagraniczną śpiewaczkę zaprezentowało nasze towarzystwo muzyczne na jednym ze swoich koncertów. Mówimy o p. Mary Forrest, *par excellence* estradowej artystce: Przypomniała ona nam wielką w swoim rodzaju Barbi, choć od tej ostatniej różni się wielu właściwościami, począwszy od powierzchności, a kończąc na temperamencie.

Włoska śpiewaczka koncertowa łączyła słodycz i melodyjność głosu z gorącą falą uczucia, hamowanego wykwiutną miarą artystyczną: Barbi czarowała, porywając zarazem. Panna Mary Forrest jest bez wątpienia śpiewaczką bez zarzutu, ale niema w jej głosie tej miękkości przedziwnej, która cechowała śpiew jej poprzedniczki. Byłoby, oczywiście, niesprawiedliwością niepochwalić interpretacji p. Forrest; owszem zasługuje ona na uznanie: pod każdym względem. Nieposzlakowana czystości intonacji, doskonałe frazowanie, trafne zrozumienie kompozycei — oto przymioty tego bardzo pięknego śpiewu.

Jednocześnie wystąpił na estradzie p. Gregorowicz, uzdolniony skrzypek, noszący na sobie ślady szkoły niemieckiej, w której się wykształcił. Z niezamąconym spokojem traktował każdy utwór, wydobywając z niego myśl za pomocą techniki wyrobionej wszechstronnie.

W tej chłodnej cokolwiek interpretacji słyszeliśmy pierwszą część drugiego koncertu Brucha i introdukcję oraz Rondo capriccioso Saint-Saëns'a.

Weale dobrze akompaniowała tej parze artystycznej p. Małgorzata Eussert utalentowana pianistka, która nadto wykonała sama wariacje ze suity *d-minor* Haendla.

O ile koncert, dopiero co wspomniany, wypadł bardzo ładnie, o tyle przedostatni wieczór towarzystwa muzycznego szwankował i niemiłe w części pozostawił po sobie wrażenie. Słuszość przyznać każe, iż był to koncert tak zwany „mniejszy,“ więc i wymagania muszą być mniejsze. Nie będziemy tedy wspominali nawet o solistach, z wyjątkiem zapowiadającej się w przyszłości nader ciekawie, ośmioletniej wiolonistce, Geni Argiewiczównie. Ma szczęśliwą rękę p. Rosen, gdyż znowu wprowadza w krainę sztuki uczennicę małoletnią i każe wierzyć w jej niewątpliwą talent.

Dziecko to wykazało: słuch, technikę dość daleko posuniętą, miły i wcale głęboki ton, co stanowi zalety pierwszorzędne, jeżeli wrócimy uwagę na małe, dziecinne skrzypce, które mi posługuje się młodziutka skrzypaczka. Wykonanie dziewiętego koncertu Brucha i Fantazy z opery „Faust“ Gounoda-Alarda, dało dowód pieczołowitej i umiejętnej pracy nauczyciela; sposób zaś interpretacji przekonał niezbitnie o prawdziwym talencie tego nowego dziecka cudownego. Genia jest rodzoną siostrą Arturka Argiewicza, również wysoce utalentowanego skrzypka.

Parę słów wzmianki poświęcić wypada p. Mauryemu Rosenowi, którego trafnie nazwano „odkrywcą młodych talentów.“ P. Rosen urodził się d. 20 czerwca 1868 r., na Wołyniu; ojciec jego był skrzypkiem. W r. 1884 młody Rosen wstąpił do konserwatorium warszawskiego pod kierunek prof. Lotta; później uczył się u Stanisława Barcewicza i jako laureat skończył instytut. Przez cztery lata p. Rosen grał w pierwszych skrzypkach orkiestry teatru Wielkiego, opuścił jednak to zajęcie, ponieważ go zawód pedagogiczny zaabsorbował najzupełniej. Od r. 1889 prof. Rosen wyhodował: Bronisława Hubermana, Artura Argiewicza, Leopolda Przemysłera i obecnie kształci malutką Genię Argiewiczównę oraz Leonka Fiedlera, któregośmy jeszcze grającego nie słyszeli. Wkrótce, jak donosi „Echo muzyczne“, prof. Rosen wyda gamy dla uczących się gry skrzypcowej.

Skrzypka-mistrza usłyszeliśmy na zeszlotygodniowym koncercie towarzystwa muzycznego: grał Stanisław Barcewicz, czarodziej tonu i upajającej melodyi. Kto raz słyszał tego artystę, nie zapomni go nigdy. Pieśń, wydobyta z pod smyczka Barcewicza, zapada gdzieś echem w duszy naszej, koi ją i uspokaja.

Wielki nasz skrzypek odtworzył szereg kompozycji, wlewając w nie sentymentu moc, przydane go w jak najpiękniejszą szatę. Technika artysty jest pierwszorzędnej miary; pod względem duchowym interpretacja Barcewicza nie ma sobie równej. Owacza spotkała znakomitego skrzypka ze strony słuchaczy, uczennice zaś ofiarowały swemu profesorowi wieniec laurowy.

Radosna wieść nadechodzi z dziedziny twórczości muzycznej: Władysław Żeleński skończył już nową operę, p. t. „Goplana“, którą wystawi najpierw teatr hr. Skarbka we Lwowie, Ci, co mieli sposobność słyszeć, (urywki tego dzieła zamieściło w dodatkach swoich „Echo muzyczne“) chwalą je gorąco i rokuja mu sukces niewątpliwy. Może i my tę nowość wysoce interesującą ujrzymy w Warszawie.

Adam Dobrowolski.

Z WŁOCH

Cudze rzeczy wiedzieć dobrze jest, swoje potrzeba, dla tego też zaczynam mój list do was od wzmianki, że obraz naszego młodego malarza zamieszkującego w Rzymie, Stanisława Pstrokońskiego, jest tu wielce chwalony przez znawców i wróżą mu ogólnie przyszłość świetną, zacem przemawia nie tylko artystyczna strona jego pracy, ale i dobór jej przedmiotów. Obraz znacznych rozmiarów przedstawia ruiny starożytne z pogańskich czasów Rzymu w oświetleniu zachodzącego słońca, którego blaski odbijające się na obłokach tworzą grę światła i cieni, a razem rzecz całą zajmuje i przykuwa wzrok do siebie, choć tutaj w obec tego wszystkiego, co przedstawia się wciąż oczom, niełatwo jest wzbudzić zajęcie. Przecież z żalem wielkim widzieć tu trzeba jak arcydzieła sztuki włoskiej wywożone są zagranicę, a właśnie w tych czasach włoscy wielbiciele sztuki ojczystej cieszyć by mo-

gli wzrok obrazem Rafaela „Skrzypek“, który ze starożytnego pałacu książąt Sciarry został wywieziony do Paryża, lecz szczęśliwym zbiegiem okoliczności wrócił do kraju po upływie lat dwudziestu, nabyty, przez włoskiego ministra spraw zagranicznych, lecz rzadko kiedy tak bywa i w ten to sposób najszacowniejsze dzieła sztuki włoskiej rozproszyły się po świecie, „Bella“ Tycjana, „Skromność i płochość“ Caravaggia i wiele innych.

Księciu Sciera wytoczony nawet został z tego powodu przez ministerium sztuk pięknych proces i skazany na grzywny miał obok tego odpokutować winę więzieniem w wieży, ale król go ulaskawił na prośbę rodziny, zajmującej bardzo dostojne miejsce wśród arystokracji rzymskiej. Chodziło tu o obraz Ś-go Sebestyana, dzieło Perugina wysokiej wartości, który przedstawia świętego, gdy jako męczennik przywiązany jest do słupa pod loggią z rzeźbionymi pilastrami, a w głębi wspaniały krajobraz umbryjski. Inne obrazy tego magnata kupił Rotszyld, Hirsz i budzi to w kraju rozgoryczenie wielkie przeciwko artystokracji, która nie umie cześć pamiątek swoich. Brakuje tu poniekąd dostatecznego zamówienia dla przeszłości; odkopaliska Pompei ogłażane są z przedmiotów, które się tam znajdowały i przenoszone do muzeum narodowego w Neapolu, aż nareszcie podniosły się głosy artystów, że jest to wandalizm i nowo odkopany dom Vecyuszów pozostał nienaruszony, więc w stanie takim, w jakim był w chwili okrutnej katastrofy.

Dyrektor generalny starożytności, który tego o ile mógł pilnował, najczulszy w swoim zawodzie archeolog, Senator Guiseppe Fiorelli umarł niedawno w Neapolu, a jest to wielka strata dla Włoch, bo dziś ludzie ciesząc się osiągniętą terazniejszością mniej się zajmują przeszłością, która przecież może i powinna oddziaływać na życie nasze, jeżeli nie tradycyji, która wiąże ze sobą wieki, nie ma być przerwana. Zostały po zmarłym cenne dzieła archeologiczne, które król Humbert zakupił od sukcesorów i w bibliotece swojej pomieścił, a podnoszą się też w prasie głosy, aby wzniesiono mu pomnik kosztem narodu.

Otrzymał go właśnie mąż inny, ale nie mniej zasłużony, generał Nicolo Fabrizi, człowiek bohaterko waleczny, który odznaczył się dzielnie w walce z Austryakami pod Rimini. Przebywał potem w Paryżu, gdzie związał się węzłem przyjaźni z Mazzinim; rok 1848 zastał go w Sycylii, bo nigdy nie zmęczony znajdował się zawsze tam, gdzie mógł działać dla dobra Włoch. W bitwie pod Mentoną w 1867 r., zyskał sobie sławę wielkodusznego męża, to też na uroczystości odsłonięcia pomnika, który jest dziełem najwyżej we Włoszech cenionego rzeźbiarza Fasce, rzymianina, znajdował się nie tylko wielki tłum ludzi ze wszystkich prowincyi Włoch, ale i delegowani ze strony rządu, i to tylko stało się rzeczą przykrą, że pioluny przeszłości zatruli gorczyczą tę uroczystość. Crispi miał mieć mowę okolicznościową, lecz garibaldecy i studenci postanowili w takim razie nie uczestniczyć w obchodzie wygłaszając zdanie, że nie jest on godzien przemawiać o takim bohaterze jak Fabrizi i chociaż prezes ministrów cofnął się od udziału w tym akcie, a ktoś inny stanął na jego miejscu, studenci, uparci się trzymali przy swoim i chorągiew uniwersytetu nie powiewała wśród licznie ze wszystkich stron Włoch i stanów wszelkich zgromadzonej ludności. Niewymownie wspaniałą była przecież chwila, gdy zasłona opadła z pomnika, a trzysta gołębi pocztowych wypuszczono z klatki, aby rozniosły na obszar Włoch całą wiadomość uroczystego momentu.

Wkrótce potem odbyła się równie wzniosła uroczystość. Odsłonięto w Modenie pomnik wzniesiony ku czci jednego z najdzielniejszych synów Włoch tegoczesnych, Mikołaja Fabrizzi. Urodzony w Modenie 1805 r., oddany był duszą całą idei łączenia węzłem jednym wszystkich prowincyi włoskich, znajdował się też wszędzie tam gdzie ruch taki się objawił. Był w Sycylii, w Medyolanie, był z Garibaldim pod Rzymem, pamiętniki jego są też wielce interesujące, a pomnik jest dłuta najznakomitszego rzeźbiarza Włoch nowożytnych, Franciszka Fasce. Dodać przecież należy na chwałę kobiet włoskich, że go stroją codziennie w kwiaty świeże.

Obok tego, co się rodzi z uczuć serca szlacheńskich, mieści się w głębi człowieka pragnienie jakiejś wesołej chwili, która każe mu zapominać o troskach i trudach życia. Karnawał ma we Włoszech nigdy nie przedawnione prawa swoje i po dziś dzień powtarzać tam można „wrzawa, śmiech pusty, a znasz ty włoskie zapusty?“ W tym roku zjazd cudzoziemców jeszcze to podnosi, chcąc zatem przedstawić im coś oryginalnego, czego nie da ani Paryż, ani Londyn, przewódcy karnawałowych uroczystości postanowili ukazać im starożytny rzymski karnawał; maski ubrane w historyczne kostiumy przeszłych wieków przybyły do Rzymu o jednej godzinie z miejscowości rozmaitych, a maski rzymskie w strojach maskaradowych, co najmniej z przeszłego wieku, powitały gości na stacyi i pięcioma powozami dobrze zaopiekowanymi jechano przez główne ulice miasta. Dodać trzeba, że wszyscy mieli na twarzach maski czarne i tłum ludzi wyległ na ulice, aby im się przypatrzeć a nietylko w Rzymie tak się ochoczo wesela; w Nicei odbył się wielki korowód bardzo efektowny, walka kwiatów na welocepedach zasiewała ulice fijołkami. Był tu i rower cały też z kwiatów najrozmaitszych, po nad nim błyszczał srebrny księżyc, a pod jego promieniami siedziała piękna pani, obrzucająca ludzi różami.

Przecież mimo tych wszystkich uciech są tu i walki z życiem, walki z naturą, Wezuwiusz zaczyna być już od roku niespokojny, strumienie lawy płyną z bocznego krateru ku Atrio del Cavallo, przecież ludzie, którzy się już przyzwyczaili do tego, dość obojętnie rzecz przyjmują, a nawet są i tacy, którzy bynajmniej się nie gniewają, nie użalają na to, nie dla wspaniałych efektów łamiących się światła i cieni, ale ze względu na korzyść jaką im przynosi zjazd cudzoziemców, pragnących oglądać ten fenomen natury i wykopaliska pompejańskie, które spełniają oddane im muzeum.

Szkodą wielką w tym kierunku jest śmierć senatora Fiorelli, uczonego archeologa, którego prace podjęte koło odkopalisk Pompei dały mu sławę znakomitego badacza starożytności. Dzięki jego staraniom wydostano z pod warstwy popiołów i żużli na pięć do sześciu łokci grubej, rozmaite skamieniałe przedmioty obok skamieniałych murów i skamieniałych trupów, pograżonych w warstwach popiołów, a które przedstawiają nam dziś obraz życia tej dalekiej przeszłości:

Wzgórze dźwigające Palatyn, który stał się jedną ruiną, przywaloną ziemią, nanieloną tu przez pył wieków, zamieniło się w gaje i ogrody ze strzyżonymi szpalerami, a w głębi których kryją się ruiny pałaców, świątyń, pełne szacownych skarbów przeszłości. Napoleon III kupił w 1861 r., od króla neapolitańskiego, Franciszka II, farnazyjskie ogrody za 250,000 franków, a dodać należy, że trzeba było niemałych wydatków na poszukiwanie drogocennych przedmiotów jakie kryły się tam w łonie ziemi, lecz rok 1871 kazał mu odprzedać Palatyn cały rządowi włoskiemu za 650,000 franków, jakkolwiek włożył w odkopywanie ruin milion przeszło. Roboty prowadzili uczeni archeologowie Rosa i Fiorelli, poszukiwania nie są jeszcze ukończone, lecz już dobiegają końca i nie małego jest to znaczenia dla nauki. Przecież inne sprawy zajmują tu silniej uwagę ludzką, wiadomości z Afryki nie przychodzą, snąc komunikacja telegraficzna jest zerwana i podniesiono tu projekt aby książę Aosta udał się na miejsce walk, w których leje się krew włoska i objął dowództwo nad armią. Król Humbert nie wydał jeszcze na to swego zezwolenia i zapewne rzecz nie przyjdzie do skutku, bo doświadczony i mężnego ducha generał ma dość męstwa i energii, aby prowadzić działania jak należy, lecz niedostateczne środki, które musi rozrządzać jedynie, nie pozwalają mu na to.

August

Z bieżącej chwili.

— Donoszą z Petersburga, iż poprawiony i uzupełniony projekt o komiwojażerach wniesionym będzie w ostatecznej redakcyi w tych dniach do rady państwa.

— *Moskiewskie wiadomości* piszą, jakoby istniał projekt rozciągnięcia pilnej kontroli nad wszystkimi towarzystwami dobroczynnymi w państwie.

— Zarząd Warszawskich kolonii letnich otrzymał w ten rok bieżący pozwolenie na zbieranie składek, stara się już o pomieszczenie odpowiednie biednej dziatwy i w tym celu zwraca się do ziemian z prośbą o udzielenie bezpłatnych pomieszczeń. Warunki wymagane przy urządzeniu kolonii letnich są następujące 1) suche położenie, 2) niezbyt wielka odległość od stacyi kolei żelaznej, 3) kąpiel, 4) bliskość lasu, 5) łatwość zaopatrywania się w artykuły spożywcze. Wszak w wielu folwarkach znajdują się budynki nieużytkowane, w których można by słabowite te dzieci pomieścić. Ci z szanownych ziemian, którzyby chcieli łaskawie oferty swoje przedstawić, raczą je nadsyłać do biura instytucyi przy ulicy Nowy-Swiat, Nr. 42.

— W ubiegły poniedziałek na posiedzeniu zarządu Warszawskiego Towarzystwa dobroczynności, odbytem pod przewodnictwem p. Jana Pawła Łuszczewskiego, prezesa zarządu, w obecności księcia Michała Radziwiłła, prezesa Towarzystwa, zatwierdzono projekt utworzenia „Schroniska dla dzieci“ na Powiślu, w lokalu najętym przy ulicy Drewnianej pod Nr. 7. Zaproszono na członka Towarzystwa dobroczynności a obok tego na opiekunkę pomienionego zakładu p. Maryą Olszewską, na opiekuna ubogich cyrkuła III zanominowano p. Bolesława Hańczakowicza; dalej zatwierdzono budowę baru dla wychowawców zakładu sierot chłopców na kolonii Drewnica, podług planu budowniczego p. Adamczewskiego.

— Stosownie do poprzedniego zawiadomienia zarząd kolonii letnich przypomina, iż do zapisu mającego się odbywać w biurze kolonii (Nowy-Swiat Nr. 42) od dnia 24 lutego do d. 3 marca, zgłaszać się mają rodzice lub opiekunowie bez dzieci między godz. 10 rano i 4-tą po południu. Przyjmowane będą dzieci tylko w wieku od lat ośmiu do trzynastu.

— W obec dość kosztownego kształcenia dzieci, zwłaszcza gdy jest to pragnieniem rodziców aby było wyższe, specjalne, wiele osób znajduje się w boleśnym przykrem położeniu w skutek braku odpowiednich środków. Z tego powodu p. Nikodem Krakowski podał projekt zakładania przy różnych instytucjach i przedsiębiorstwach kas stypendyalnych. Uczestnicy takiej kasy składając stale drobne kwoty zapewniają dzieciom dorosłym fundusz na kształcenie się wyższe. Że projekt jest ze wszech miar godny uznania i urzeczywistnienia łatwo zrozumieć, zwłaszcza że istnieje ustawa normalna kasy stypendyalnej, założonej niedawno w Wilnie przez pracowników biura banku ziemskiego w Wilnie.

— W salonie Towarzystwa zachęty sztuk pięknych ma być wkrótce wystawiony obraz Jana Chełmońskiego „Przeprawa armii Napoleona przez Wilię.“ W tymże salonie wystawiony będzie wkrótce obraz Franciszka Zmurki „Przeszłość grzesznika“ do niedawna znajdujący się w Wiedniu.

— Konkurs rzeźbiarski rozstrzygniętym został dnia 20 bieżącego miesiąca. Nagrodę pierwszą w kwocie 600 rs., otrzymał Konstanty Laszka za rzeźbę „Zima,“ nagrodę drugą 300 rs., przyznano Stanisławowi Lewandowskiemu za rzeźbę „Zniwiarka,“ na-

grodę trzecią 200 rs. Wojciechowi Brzega za rzeźbę „Sabała.“ Obok tego przyznano listy pochwalne: Wasilkowskiemu Leopoldowi za rzeźbę „Donna Laura.“ Wincentemu Bogaczykowi za rzeźbę „Wniebowzięcie.“

— Warszawskie Towarzystwo ogrodnicze ogłasza dwa konkursy: pierwszy na plan sadu, ogródka warzywnego i podwórka przy chaacie, zastosowanych do dziesięciomorgowego gospodarstwa, nagrody: medal srebrny wielki i mały; konkurs drugi na nadesłane plany sadów z opisami, lub opisy dokładne istniejących już sadów. Opisy mają być stwierdzone przez władzę miejscową, lub przez świadectwo sąsiednich obywateli. Termin nadsyłania prac na ten konkurs upływa z d. 16 marca roku bieżącego, adres:

— Prezes Towarzystwa Dobroczynności, książę Michał Radziwiłł, objaśnił przez dzienniki publiczność naszego miasta o losie dzieci ludności wyrobniczej, która udając się do pracy na zarobek po za domem, pozostawia dzieci te bez opieki. Ochrony, których Warszawa ma liczbę znaczną, dają przytułek około 4,000 tych dzieci w wieku od lat trzech do siedmiu, to jest do czasu, w którym mogą uczęszczać do szkółek. Ochrony, prawdziwie nazwę tę noszące, dają temu biedactwu troskliwą opiekę, a po większej części i posiłek ciepły zwłaszcza w czasie chłodnym, a wtenczas biedactwo drobne otrzymuje odzież i obuwie, lub przynajmniej materiał, z którego odzież się wyrabia. Towarzystwo Dobroczynności uwzględniając potrzeby rodzin ubogich wznosi największą liczbę ochron na powiślu, na Starym Mieście i w ogóle tam, gdzie mieści się szczególnie ludność wyrobnicza i fabryczna. Przecież ochrony przyjmując 4,000 dzieci, jeszcze nie mogą przygarnąć wszystkich potrzebujących tego, bo dzieci takich jest w Warszawie około 9,000, jakkolwiek w miarę funduszy zyskanych od osób dobroczynnych zakładają się nowe ochrony. Ostatnia założona została za rogatkami Jerozolimskimi z ofiary p. Jerzmanowskiego w 1894 r.

— Parafialny kościół w Krasniku, bardzo piękna i starożytna świątynia, fundowana w XV wieku przez Tenczyńskich, ówczesnych dziedziców miasta, posiadająca piękne pomniki, została gruntownie wyrestaurowana kosztem parafian.

— W miesiącu przyszłym otwarta będzie w Marsylii międzynarodowa wystawa przedmiotów mających związek z podróżami i higieną. Informacyi udziela zarząd wystawy, którego adres jest: „Direction, Exposition de Marseille, boulevard Pons, 8, Prado Marseille.“

— Gabinet historyi sztuki, mieszczący się przy wszechniicy krakowskiej, zebrany i uporządkowany przez prof. Sokołowskiego, mieści zbiory obejmujące bibliotekę złożoną z dzieł wyższej wartości, oraz najnowsze w tym zakresie wydawnictwa i zbiór fotografii w liczbie sztuk 1,900. Odlewy gipsowe, dar hr. Karola Lanckorońskiego, dają pojęcie o różnych epokach rzeźby, przedstawioną tu jest cześć fryzu Partenńskiego, Hermes Praksytelesa, Sofokles Laterański, Wenus z Melos, S-ty Jerzy Donatella, Madonna Michała Anioła, grupa Laokona, kolumna z Efezu, płaskorzeźby Donatella.

— Donoszą z Krakowa, iż Aleksander Gierymski pracuje w Monachium nad wielkim obrazem osnutym na tle włoskiego Odrodzenia.

— Myśl założenia Towarzystwa imienia Matejki w Krakowie na wzór domu Dürera w Norymberdze, lub Mozarta w Salzburgu, czynem się staje. Wspomniane Towarzystwo zakupiło od rodziny zmarłego mistrza dom starożytny przy ulicy Floryańskiej za sumę 35,800 zł. reń., i taką też jest suma przeznaczona na zakup pamiątek po Matejce a wkrótce już otwartem zostanie pierwsze piętro z urządzeniem zupełnie takim samym, jakie było w dniu śmierci jego. Będzie to pierwszy związek muzeum imienia

Matejki, komitet pragnie też otworzyć go co najrychlej i oddać na użytek publiczny. Towarzystwo zamierza przecież dom przebudować i uczynić go odpowiednim dla celów muzealnych i dać mu artystyczną cechę stylową. Koszta przebudowy obliczono na 15,000 zł. reń., przecież Towarzystwo sumy tej nie posiada i celem zebrania odpowiedniego funduszu poddano myśl sprzedaży odlewów bronzowych katedralnego dzwonu Zygmunta w $\frac{1}{36}$ części wielkości naturalnej. „Zygmunt“ tak odlany kosztować będzie 10 zł. reń., i w ten sposób dochód może stworzyć fundusz na przebudowę domu i urządzenie go odpowiednio. Na pierwszym piętrze mieścić się będzie komnata przeznaczona dla pamiątek, oraz sypialnia mistrza, zbrojownia i makaty. Drugie piętro, połączone z trzecim, pomieści pracownię mistrza, oraz galerią obrazów i szkiców. Plany Stryjeńskiego zostały przyjęte przez Towarzystwo w całości na posiedzeniu odbytem pod przewodnictwem prezesa Towarzystwa, prof. Maryana Sokołowskiego.

— We Lwowie sejm uchwalił wniosek komisji szkolnej, aby wydział krajowy uwzględniał przy rozdawaniu stypendyi słuchaczy uniwersytetów, szkoły politechnicznej, oraz szkół fachowych. Obok tego sejm polecił wydziałowi krajowemu przeprowadzenie reorganizacji archiwów krajowych, oraz aby przedstawił wniosek w sprawie pomnożenia stypendyi dla kształcących się nauczycieli szkół rolniczych, także aby na rok 1897 pomieścił w budżecie kwotę 3,000 złr. w sprawie rozwoju nauk rolniczych. Sejm polecił również wydziałowi krajowemu, aby czuwał nad ruchem emigracyjnym, mając mianowicie na uwadze działalność agentów emigracyjnych, oraz aby poselstwa w Genui i w Rio Janeiro mogły ze względu na wychodźców z Galicyi porozumiewać się z nimi przez urzędników swoich w języku ich rodzinnym

M Y Ś L I

— Najszkodliwszym wpływem na charakter człowieka jest przebywanie z ludźmi, do których czujemy antypatyę, bo czynić nas to może niesprawiedliwymi.

Eötros

— Ten kto sądzi, że znajdzie w sobie samym dość zapasu, aby się obył bez ludzi, myli się; myli się przecież jeszcze silniej ktoś taki, któremu się zdaje, że nie można żyć w oddaleniu od ruchu świata.

La Rochefoucault..

— Kto z wielką liczbą ludzi obcuje, ma wiele zamięcia, przecież zyskuje na tem mało, a często wiele traci.

Krügge.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: powieść **Czy to miłość?** przez Franka Frankfort Moore'a. Przekład z angielskiego, t. II, ark. 8. — **Walka serca**, powieść, przez Idę Boy-Ed. Przekład z niemieckiego.

TREŚĆ: Hamlet, przez Szczęsną.—Henryk Pestalozzi.—Pogawędka, przez ??—Kędy droga. Powieść współczesna, przez Wandę Grot-Bęczkowską (dalszy ciąg).—Ruch muzyczny, przez Adama Dobrowolskiego.—Z Włoch, przez Augusta.—Z bieżącej chwili.—Myśli.

Dodatek obejmuje: Czy to miłość? powieść przez Franka Frankfort Moore'a przekład z angielskiego tomu II-go, ark. 8. — **Walka serca**, powieść, przez Idę Boy-Ed. Przekład z niemieckiego. Przegląd mód. 20 wzorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.**—Dyspozycya stołu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie Przedmieście Nr 66.

Дозволено Цензурою.—Варшава, 14 Февраля 1896 г.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.